

Krzysztof Wyszowski

Polskie, arcypolskie

Motto: *„najesencjonalniejszym sposobem walki z komunizmem jest wzmocnienie jednostki przeciw masie.”*

– Witold Gombrowicz, Dziennik 1953.

Walka Polaków z sowietyzmem po roku 1944 miała swój okres wstydlivy, gdy wydawało się, że większość społeczeństwa, a na pewno jego elity, dostosowała się do gomółkizmu i wzięła udział w jego „unarodowieniu”. To był okres tzw. „małej stabilizacji” lat 1956 – 1968.

Byłem w drugiej klasie liceum (r. 1963) gdy przyjechali do nas dwaj pisarze ze Związku Literatów Polskich. To byli ludzie inteligentni i elegancy, kulturalni i wygadani, zręcznie – mruganiem, mlaskaniem, zawieszaniem głosu, uśmieszkami i gestami dłoni - przekazujący swe opozycyjne nastawienie do panującego, jakby tylko na zewnątrz auli szkolnej, systemu.

Witał ich i żegnał przyjaźnie dyrektor naszej szkoły, mój wychowawca, szef POP, szkolnej Podstawowej Organizacji Partyjnej. Ci opozycjoniści doskonale się w tej atmosferze półwolności czuli. Po ich wyjeździe klasa podzieliła się na pół – jedna mówiła o pogardzie dla oportunistów, druga twierdziła, że trzeba korzystać z tego na co system pozwala, bo i tak jest lepiej niż w czasach szkoły podstawowej.

Wkrótce potem mój przyjaciel z klasy, pochodzący z bardzo kulturalnego, opozycyjnego domu, założył Kółko do Badań nad Statutem Partii, co miało pomóc jego członkom w dostaniu się na studia w Warszawie. Dyrektor często zwracał się do nas z apelem: „bądźcie rozsądni, bo wy będziecie niedługo rządzić tym krajem”, co oznaczało: PRL wczoraj, dziś, jutro.

Mała stabilizacja, jako koncepcja trwałego kompromisu pomiędzy władzą a społeczeństwem, została poparta przez inteligencję i warstwę urzędniczą. Uzyskała poparcie nawet na wychodźstwie – popierała Gomółkę Wolna Europa, do kraju wrócił Wańkowicz. PZPR rozrosła się do 2 milionów członków. Artyści i pisarze szeregami szli w pierwszomajowych pochodach.

Ten „sowiecki socjalizm mieszczchański” był dla mnie czasem ohydny, godnym najwyższej pogardy. Po okresie „stalinowskim”, gdy wszystko było straszne, ale racje były jasne, nastąpił czas pojednania kata z ofiarą, właściciela z niewolnikiem. Literaci jedli z ręki swym nadzorcom z cenzury, bohaterowie Armii Krajowej weszli do wspólnej organizacji z mordercami z UB. PRL pierwszej połowy lat sześćdziesiątych był fortecą zadowolonego z siebie kłamstwa.

W roku 1965 mój przyjaciel, Tadeusz Kadenacy, dał mi dwie książki: „Pisma, mowy, rozkazy” Józefa Piłsudskiego i „Dziennik” Witolda Gombrowicza. Byłem o wiele za młody by je rozumieć, ale zachwyciły mnie jako literatura. W ich treści olśniewającym objaśnieniem mojej własnej sytuacji były następujące zdania: „*Nie mogę dłużej żyć w wychodku*” z listu Piłsudskiego przed akcją w Bezdanach i fragment z „Dziennika 1953” Gombrowicza: „*komunizm może być skutecznie osądzony tylko z punktu widzenia najsurowszej i najgłębszej egzystencji, nigdy – z punktu widzenia życia powierzchownego i złagodzonego – mieszczchańskiego. /.../ komu pragniecie służyć? Jednostce czy masie? Gdyż komunizm to coś, co podporządkowuje człowieka zbiorowości ludzkiej, z czego wniosek, że najesencjonalniejszym sposobem walki z komunizmem jest wzmocnienie jednostki przeciw masie.*” PRL wstrętnie śmierdział, a na ten smród składał się zarówno naturalny fetor sowietyzmu, jak wytwarzany przez inteligencję zaduch „realizmu”, a szczególnie odór wielostronnego zakłamania w jakim tkwiła peerelowska literatura.

„Mała stabilizacja” została przerwana protestem roku 1968, który miał wiele cech nieautentycznych, a nawet absurdalnych. Czołówka tego protestu - Kuroń, Michnik itp. – zmierzała do czegoś całkiem innego niż naturalny, fundamentalny antysowietyzm Polaków. Znaczenie Marca`68 polega wyłącznie na przerwaniu zmywu milczenia. Kłamstwo komunizmu wolnościowego posłużyło do zburzenia mitu socjalizmu realnego.

Dopiero bunt robotników Wybrzeża w grudniu 1970 roku, z jego wyrazistymi symbolami w postaci podpalonych komitetów PZPR, przywrócił publicznie obraz prawdziwej relacji pomiędzy Polakami a peerelem. Komunistyczna antycywilizacja wjechała do Polski na czołgach i po 35 latach panowania nie mogła się bez nich utrzymać. Stoczniovcy Gdyni, Gdańska i Szczecina odnowili barykady zbudowane w Warszawie w sierpniu 1944 roku.

Gombrowicz i „opozycja demokratyczna” lat 1976 - 1980

Bunt robotników Radomia i Ursusa w czerwcu 1976 roku doprowadził do powstania Komitetu Obrony Robotników. KOR był zjawiskiem bardzo pięknym jako całkowita nowość w beznadziejnej bierności polskiej inteligencji. Szybko jednak został podporządkowany przez tzw. lewicę laicką, która usiłowała zrobić z niego trybunę naprawiania socjalizmu według wzorów Października`56 i

Wiosny Praskiej`68. (Ofensywa lewicy spowodowała powstanie antytezy w postaci ROPCiO, jako odnowienie endecji i Dmowskiego).

Ten KOR-Lewica (przez analogię do podziału w PPS sprzed I WŚ na PPS Frakcja Rewolucyjna Piłsudskiego i anty-niepodległościowej PPS Lewicy), korzeniami tkwiący w KPP, Róży Luksemburg, dzięki „komunizantom”, takim jak Andrzejewski, Woroszyński, Brandysowie, zdominował literacki obraz ruchu.

Doszło do tego, że nastrój „opozycji demokratycznej” kształtował obraz literatury, a ta literatura drugorzędna, rozwodniona, słabowita i tandetna, coś pośredniego pomiędzy Mniszkówną a Wandą Wasilewską, kształtowała program „opozycji”. Zaczął ukazywać się „Zapis” i ja go powieliałem, szybko rozczarowując się do możliwości artystycznych, intelektualnych i politycznych tego środowiska. To było pismo interesujące, ale jawnie nieautentyczne. Autorami byli głównie niedawni współpracownicy komunizmu. Ich współpraca była tak głęboka, że nie uświadamiali sobie, że po przejściu do tzw. opozycji nadal pozostają duchowo wierni sowietyzmowi.

Problem polega na tym, że PZPR była polskim dzieckiem NKWD i NSDAP. Każdy członek tej partii, a także każdy człowiek współpracujący z systemem, stawał się w ten sposób współpracownikiem (wykorzystywał dorobek) NKWD i NSDAP. Główną winą pisarzy peerelu nie było nawet samo uwikłanie we współpracę z totalitaryzmem, ale udawana nieświadomość tej zależności, a szczególnie wypieranie się jej. Odmowa przyznania się współudziału w zbrodni zdrady narodu, państwa i literatury, wikłała pisarzy w fundamentalne, unicestwiające ich twórczość kłamstwo.

Problem z literaturą współczesną polega na tym, że dzieło musi być szczere. Pisarz polski musi więc szczerze się przyznać do współpracy z PZPR, NKWD czy Gestapo (SB) – jeżeli z nimi współpracował - choćby tylko po to, żeby podwyższyć jakość swego dzieła. Dopóki artyści ukrywać będą i zaprzeczać swemu wyborowi (choćby „przymusowemu”) akcesu do świata totalitarnej antycywilizacji, dopóty ich dzieło będzie skażone nieusuwalnym kłamstwem (trzeba pamiętać, że pisarze akceptujący realny socjalizm, byli elementem przygotowań do podboju Zachodu, czyli rozciągnięcia antycywilizacji na całą ludzkość).

Jeżeli pisarz uznał, że został, jako Polak, zdradzony przez Zachód i dlatego musi współpracować z PZPR (SB-KGB), to koniecznie powinien to napisać. Iwaszkiewicz położył się do trumny w mundurze górnika i większość swego dzieła zakopał głęboko pod ziemią. Brandysowie nie przyznali się do współudziału w systemie ludobójstwa i skazani zostali na nierzeczywistość. Z katolika i komunisty Andrzejewskiego została gnijąca miazga. Dzieło artystów peerelu szczyło. Jeżeli jeszcze w III RP wydaje się, że trwa, to tylko dlatego, że trwa państwo SB.

Pisarze, oczywiście, nie tkwią w tym kłamstwie sami. Kłamstwo jest płodne i rozradza kłamstwo. Dopóki Polacy w ogóle nie przyznają się do

masowej współpracy z totalitaryzmem, dopóty będą skazani na literacką drugorzędność. Będą wychwalać literacki fałsz i karmić się niedorzecznością. „Człowiek jest liną rozpiętą między zwierzęciem i nadczłowiekiem, - liną nad przepaścią./.../ Mężnym, niedbającym o nic, drwiącym i gwałtownym – takim chce nas mieć mądrość: ona jest kobietą i kochać zdoła tylko wojownika.” Gombrowicz znał te zdania z Zaratustry.

Sytuację zamknięcia się KOR w nierzeczywistym świecie naprawy „realnego socjalizmu” dobrze oddaje postać Jerzego Andrzejewskiego, który dawniej już wystąpił z PZPR i teraz przystąpił do Komitetu. Andrzejewski był kłamcą już przed wojną (Gombrowicz nigdy nie uwierzył w jego katolicyzm) i dlatego łatwo został kłamcą komunistycznym. Przechodząc z PZPR do „opozycji” pozostawał w świecie ideowej miazgi. Prezentowanie tej miazgi jako heroicznej samoświadomości nadal pozostawało typowym peerelowskim kłamstwem. Wydałem „Miazgę” jako pomoc dla Chojeckiego uznając, że miernota literacka książki kompensowana jest opiniotwórczym znaczeniem wydania jej w tzw. drugim obiegu. Mieszczańsko-urzędniczy czytelnik miał zrozumieć, że skoro nawet Andrzejewski wypiął się na kulturę oficjalną, to znaczy, że komuna jest już w całkowitym uwiądzie i rozpadzie. Pełną groteskowość związku literatury peerelu z PZPR ukazał Jarosław Iwaszkiewicz, który kazał się pochować w mundurze górnika, licząc na nie zmniejszanie wydań swych książek.

Wybiegając nieco w treści tego referatu chcę wskazać na kontynuację syndromu Jerzego Andrzejewskiego w dziele Andrzeja Wajdy.

Andrzejewski był autorem książki „Popiół i diament”, którą należy oceniać nie tylko na podstawie jej treści, ale i przez lekturę książki Krzysztofa Kąkolowskiego „Diament znaleziony w popiele”. W zmienionych po Październiku`56 warunkach politycznych Andrzejewski był współautorem scenariusza głośnego filmu w reżyserii Wajdy.

Pamiętajmy, że Andrzejewski był w II RP pisarzem katolickim i patriotycznym, a Wajda dzieckiem ofiary Katynia. Obaj stali się chętnymi propagandystami w służbie Stalina i Bieruta. W czasie organizowanej przez Berię i Bermana „odwilży”, obaj stali się beneficjentami zmian. W Sierpniu`1980 Andrzejewski już nie żył, ale do Stoczni Gdańskiej przybył Wajda, witany z sympatią jako reżyser „Człowieka z marmuru”. Przeprowadziłem z nim wywiad dla pisma strajkowego „Solidarność”. Szybko okazało się, że nie mamy o czym rozmawiać, bo Wajda pozostaje przypezetpeerowskim reformistą. Po strajku Wajda nakręcił fałszywy, socrealistyczny film „Człowiek z żelaza”, a w roku 1988 został członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Jako aktywista „okrągłego stołu” i artysta posiadający dobre kontakty w ambasadzie sowieckiej, w roku 1989 organizował Adamowi Michnikowi rozmowy z ludźmi Kremla.

W ostatnich latach Wajda przygotowywał wraz z Rywinem nakręcenie filmu o Katyniu. Po aferze Rywina projekt ten się na szczęście opóźnia, ale nadal wisi nad nami groźba, że powstanie dzieło równie skłamane co poprzednie filmy Wajdy – jakiś andrzejewsko-żukrowski „Lotny popiół pokolenia w żelaznym kanale”. Wajda nie powinien robić filmu o Katyniu, bo był zbyt blisko tej linii w polskiej literaturze, której symbolami są Adolf Rudnicki z nowelą „Major Hubert z Armii Andersa” czy Tadeusz Borowski z „Muzyką w Herzenburgu”. Samo bycie dzieckiem ofiary sowietyzmu nie wystarcza za legitymację do autorstwa takiego filmu. Sowietci zamordowali też ojca Wojciecha Jaruzelskiego, który jednak wyparł się go i został sowieckim janczarem. To na szczęście nieliczne przypadki, ale znam dzieci katyńczyków, które poniżyły się członkostwem PZPR, a nawet agenturą SB.

Mam poczucie istnienia ścisłego podobieństwa pomiędzy niechęcią Andrzejewskiego wobec Gombrowicza i omijaniem Gombrowicza przez Wajdę i korowską lewicę laicką. Strony pozostają sobie obce z wielu ważnych powodów, ale choćby dlatego, że Gombrowicza po prostu nie można sobie wyobrazić jako chwalcę sowietyzmu. Każdy kto takim chwalcą był, musi wobec Gombrowicza odczuwać niechęć, jaką dobrowolny niewolnik odczuwa na widok człowieka wolnego i ze swojej wolności dumnego.

WZZ jako przełom w walce z komunizmem

Jesienią 1977 roku KOR zaczął grzęznąć w mętным błotku programu ewolucji. Dlatego wiosną 1978 r. zdecydowałem się na założenie w Gdańsku – miejscu grudniowego ataku robotników na siedziby władz – Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Powodzenie WZZ było wspaniałe. Wkrótce do Komitetu zapukał szekspirowski Falstaff i gombrowiczowski Henryk – Lech Wałęsa. W październiku przyszła rewelacyjna wiadomość z Rzymu o wyborze Wojtyły na papieża. Zrozumiałem, że sprawy polityczne zostały już w Polsce rozstrzygnięte. Wybuch rewolucji był kwestią nieodległego czasu. Założenie WZZ 29 kwietnia 1978 r. i wybór papieża-Polaka 16 października 1978 r. okazały się ustanowieniem narzędzia i woli zbiorowej obalenia komunizmu.

Postawały problemy intelektualne, świadomościowe i duchowe. Przyszł czas Gombrowicza.

„Jeśli chcecie aby pocisk daleko zaleciał, musicie lufę kierować do góry”. Tego zdania nie napisał Clausewitz czy Sun Tsy. To artyleryjska rada Gombrowicza o skutecznej walce z komunizmem. Uznałem, że swoją armatę wymierzę naprawdę wysoko i nabiję ją samym Gombrowiczem. NOWa wydawała „Na probostwie w Wyszku”, a ja wypuszczałem „Kosmos” i zeszyty „Dziennika”.

Wydałem też Miłosza „Gdzie słońce wschodzi, a kędy zapada”. Pod firmą „Głosu” wydałem „Agresję 17 września 1939 roku” Jerzego Łojka (Leopolda Jeżewskiego). Jako „KLIN” wydałem Wojciecha Karpińskiego „W Central Parku”. Kilka numerów „ResPublica”. Wiele broszur i artykułów politycznych.

Główną moją pracą zawsze pozostawał jednak Gombrowicz. „Dziennik” wydałem pod firmą „KLIN”, co nie było jakimś skrótem, ale „gombrowiczowskim” odniesieniem do roli jego dzieła wobec komunizmu. Gombrowicz nie mówił: „Bądź wierny. Idź!”. Oddziaływać miał nie jako organizator grup bojowych, a przez wbicie klina pod fundament sowietyzmu czyli przez odbudowę indywidualnej samoświadomości i niezależności. I tak się działo. Osobiście widziałem, że tam, gdzie dotarły zeszyty Gombrowicza, pojawiali się ludzie zrywający z zakłamaniem, odkrywający piękno wolności.

Spotykałem młodych ludzi uwiedzionych poezją jego „Dziennika” nie mniej niż on sam kiedyś był uwiedziony poezją „Zaratustry”. Specjalnie dla młodzieży licealnej wydałem w kilku różnych formach 12,5 tysiąca egzemplarzy „Przeciw poetom”. Część wyszła pod nazwą „PUNK”, ponieważ właśnie w tym czasie pojawił się ruch punkowy, ostro zwalczany przez milicję i chciałem go wzmocnić. Młodzi chłopcy z Gdańska zaczęli wydawać pisemko „Zjadacz radia”, które było niezłym odpowiednikiem gombrowiczowskiej przypowieści o zjadaczach gówna.

„(Risum teneatis...)

Oto (piszą stare kroniki) jeden z babilońskich królów, pragnąc zhańbić pojmanych do niewoli wodzów, zaprosił ich na biesiadę, gdzie nieszczęśnikom podano talerz... hm... jak by to rzec... talerz, o, talerz... nie, za nic nie powiem, jaka ohyda i hańba widniała na owym talerzu zemsty, przemocy i upokorzenia. O zgrozo zgroz, jak mówi Poe! Pojmani wodzowie byli mężami w pełnym znaczeniu tego słowa wytrawnymi, którzy z niejednego pieca chleb jedli – widząc tedy, iż wszelki opór byłby złamany torturą, o to już tylko się troszczyli aby, w obieżach tej wstrętnej przygody, uratować swą cześć rycerską, droższą im nad wszystko. Postanowili oni zjeść to co im dano, ale nie chcieli, aby zhańbiło ich to co będą jedli. I podczas gdy jeden, spożywając ową rzecz straszną, wybuchnął ordynarnymi wyzwiskami, opowiadał sprośne anegdoty i śpiewał także piosenki, a jadł jak cham, jak wieprz, jak ordynus (gdyż pragnął własną ordynarnością opancerzyć się przeciw tej ordynarności), drugi jadł mądrze, rozumnie, ba, intelektualnie nawet, jadł z pełną świadomością Zagadki Bytu, z najgłębszym znawstwem wszelkich tajników natury i tak, mądrze i głęboko jedząc, usiłował Rozumem wzbic się ponad talerz... Inny zaś wydał pierś i jadł jak bohater, jak męczennik Sprawy, a nawet zaśpiewał pieśń patriotyczną i krzychał: honor! Lecz inny starał się jeść z prostotą... normalnie... naturalnie... jakby to był szpinak, jakby to, panie, bo ja wiem, co robić, trzeba zjeść, nie da rady, z życie jest życiem. Ale inny jeszcze popadł w najstraszliwsze szały, w najdziwniejsze, mistyczne i metafizyczne gesty i zaklęcia, którymi chciał przeobrazić siebie oraz swe jedzenie w Coś Innego,

przetoczyć siebie w inny wymiar i stać się czymś ponad i poza... A inny próbował jeść pozytywnie i jadł, szukając dodatniego sensu, jadł po obywatelsku, z przekonaniem, że spełnia swój obowiązek i że jednostka musi poświęcić się dla Zbiorowości. Niestety! Niestety! Daremny trud! Próżny wysiłek! Cokolwiek by nie uczynili – g...! I jakiegokolwiek by nie były ich zaklęcia – g...! I wbrew wszystkiemu g..., g..., g...! Wiec znowu szukają! Znow w inne popadają konwulsje! Innych próbują Sposobów Jedzenia! Lecz g..., g..., g...! I znowu szukają min, sposobów, postaw! Lecz g...!”

Ta wymyślona przez Gombrowicza przypowieść jest trawestacją historii z Drugiej Księgi Machabejskiej. 2 Mch 7, 1-2. 9-14

„Zdarzyło się, że siedmiu braci razem z matką zostało schwytanych. Bito ich biczami i rzemieniami, gdyż król chciał ich zmusić, aby skosztowali wieprzowiny zakazanej przez Prawo. Jeden z nich, przemawiając w imieniu wszystkich, tak powiedział: "O co pragniesz zapytać i czego dowiedzieć się od nas? Jesteśmy bowiem gotowi raczej zginąć aniżeli przekroczyć ojczyście prawo". Drugi zaś brat w chwili, gdy oddawał ostatnie tchnienie, powiedział: "Ty zbrodniarzu, odbierasz nam to obecne życie. Król świata jednak nas, którzy umieramy za Jego prawo, wskrzesi i ożywi do życia wiecznego". Po nim był męczony trzeci. Na żądanie natychmiast wysunął język, a ręce wyciągnął bez obawy i mężnie powiedział: "Z nieba je otrzymałem, ale dla Jego praw nimi gardzę, a spodziewam się, że od Niego ponownie je otrzymam". Nawet sam król i całe jego otoczenie zdumiewało się odwagą młodzieńca, jak za nic miał cierpienia. Gdy ten już zakończył życie, takim samym katuszom poddano czwartego. Konając, tak powiedział: "Lepiej jest nam, którzy ginimy z ludzkich rąk, a którzy w Bogu pokładamy nadzieję, że znowu przez Niego będziemy wskrzeszeni. Dla ciebie bowiem nie ma wskrzeszenia do życia".

Trudno było żądać od polskich pisarzy i od polskich intelektualistów, żeby odmówili jedzenia wieprzowiny, ale pozostaje hańbą domową, że tak niewielu wybrało nieuczestniczenie, mimo że znali słowa Zaratustry o człowieku wyższym:

„Wy twórcy, wyżsi wy ludzie! /.../

Nie pozwalajcież wgadywać w siebie niczego i wmawiać! Któż jest w a s z y m bliźnim? Aczkolwiek działacie „dla bliźniego”, - nie tworzycie wszak dla niego! /.../

Owo „dla bliźniego” jest cnotą małych ludzi: u nich to obowiązuje „swoją swojemu” i „ręka rękę myje”: - oni nie mają ani prawa, ani siły do w a s z e g o samolubstwa! /.../

Wasze dzieło, wola wasza jest w a s z y m „bliźnim”: nie pozwalajcie wmawiać w siebie fałszywych wartości.”

Hasło Solidarność

Andrzej Stanisław Kowalczyk w artykule p.t.: „Gombrowicz – Husserl. O fenomenologicznych motywach w Dzienniku” napisał: „*Gombrowicz broni suwerenności Ja nie tyle z wierności, albo przywiązania do tradycji zachodniego indywidualizmu, ile w przekonaniu, że Ja jest podstawą wszelkiego poznania, fundamentem międzyludzkiego dialogu, zasady solidarności*”.

Jestem wdzięczny Kowalczykowi za to fenomenologiczne uzasadnienie, bo bez niego byłoby mi trudno udowodnić związek Gombrowicza z ideą, która w swoim czasie porwała miliony, doprowadziła do upadku komunizmu i odzyskania przez Polskę niepodległości.

A było to tak. Wiosną 1978 roku szukałem nazwy dla pisma WZZ, które miało być jednocześnie hasłem dla mającego się narodzić wielkiego ruchu społecznego. Łaziłem po bibliotekach szukając w historii i słownikach. Komunistyczna atomizacja podsuwała antytetyczną „więź”, ale było to zbyt bezdźwięczne i w dodatku był to tytuł pisma rewizjonistów katolickich (byli to super rewizjoniści, bo „rewidowali” jednocześnie i realny socjalizm i katolicyzm). Bliskoznaczną „solidarność” zniechęcała swym zużyciem w propagandzie „solidarności międzynarodowej”, szczególnie z walką narodu wietnamskiego. Jednak przy analizie tego słowa zwrócił moją uwagę zawarte w nim słowo „solidność”. Brzmiało ono bardzo, nawet rażąco, niewspółcześnie. Zauważyłem, że ono również jest doskonale antytetyczne wobec sowytyzmu, który był koniecznym i nieodwołalnym absolutną tandetą, gdy solidność odsyłała do wartości kapitalizmu. Solidność była też cechą indywidualną. Oznaczała rzetelność, obowiązkowość, uczciwość. Zdałem sobie sprawę, że solidność to ukryta cecha Gombrowicza, że właśnie dlatego, że jego książki są solidne, to znaczą rzetelnie i uczciwie odczute, pomyślane i wykonane, robią tak wielkie wrażenie na młodzieży, która przecież, ogarnięta peeralem, owinięta tandetą w powiciu, nie zetknęła się wcześniej z takim towarem.

Mimo, że okazało się, że sto lat wcześniej istniała jakaś socjalistyczna partyjka pod tą nazwą, zdecydowałem się na „Solidarność”, która wygrała dzięki gombrowiczowskiej solidności! Pełen zachwyty dla bezapelacyjnej zwyciężkości tego hasła przedstawiłem swoje odkrycie kolegom. A tu czekała na mnie tandeta wyobraźni lewicy korowskiej, która wmówiła wuzetzetowcom, że „solidarność” brzmi solidarystycznie, a więc zatracą faszystowsko. Pismo WZZ przybrało więc nazwę „Robotnik Wybrzeża”. Dopiero gdy podczas Sierpnia`80 nazwałem tak strajkowy biuletyn informacyjny i „solidarność” wybuchła jak rakietą. Start był opóźniony, ale warto było poczekać. Gdy jeszcze Jerzy Janiszewski przyniósł plakat pisany „solidarycą” „solidarność” powędrowała na cały świat i nawet dzisiaj w niejednym potrafi wzbudzić emocje.

Pornografia i Wielki Strajk

Po wydaniu Dziennika i Kosmosu przyszedł czas na „Pornografię”. W tym wypadku zrezygnowałem z „KLIN”a i wydałem ją jako „Oficyna Narodowa” – Pułtusk. Było to powtórzenie w nowych warunkach metody Gombrowicza z publikowaniem swych tekstów przed wojną w „Polsce Zbrojnej” czy „Gazecie Polskiej”.

„Pornografia” miała jednak więcej celów. Była wymierzona w sojusz „czerwonego” z „czarnym”. Stanowiła dla Kościoła wyzwanie – aby nie przegrać starcia z Gombrowiczem Kościół powinien był porzucić współpracę z władzą. (niestety Glemp).

Wydając „Pornografię” przenosiłem prowokację wobec partyzantki do współczesnego podziemia. Gombrowicz atakował z daleka, wysyłając ją do Polski via Paryż i cieniutki nitki indywidualnych turystów, którym SB przydzieliła paszport. Ja wprowadzałem tę wywrotową książkę o perwersji i ascezie woli mocy w środek grup młodzieży spiskującej w podziemiu o buncie przeciw władzy świeckiej i kościelnej, przeciw tradycji narodowej i przeciw rodzinie.

Pornografia ma zasięg polityczny tak szeroki, że nawet dzisiaj nie odważę się opisywać go bardziej szczegółowo. Zasłonię się cytatem z wczorajszego referatu Piotra Graczyka: „Pornografia jest również „powieścią wojenną” w sensie istotniejszym; jest mianowicie próbą opisanie pewnej wojny, w której nie można nie uczestniczyć, na którą jesteśmy z natury rzeczy skazani. Nie chodzi przy tym o żadną wojnę światową; rzeczywistość, której dosięgnąć pragnie Gombrowicz, leży na poziomie dużo głębszym, to znaczy bardziej ukrytym i bardziej fundamentalnym niż wszelkie wydarzenia polityczne – niż sama „Historia” jako historia ludzkich potyczek i ludzkich instytucji. Gombrowiczowi nie chodzi bowiem o historię, rzecz ludzką, ale o Naturę, rzecz nie-ludzką, choć również nie-boską. Chodzi mu o zaprogramowaną przez Naturę wojnę między pokoleniami, wojny młodości ze starością”.

Graczyk ma rację, ale wskazując na wojnę na poziomie głębszym nie powinien mniemać, że takie rzeczy dzieć się mogą bez zwykłej wojny na poziomie płytszym. Wskazuję tu jako trop zdanie, które Graczyk uznał za potrzebne do zacytowania: „Ten uboczny komentarz, to glossa zabijająca, była dziełem świadomości ostrej, zimnej, przenikającej na wskroś, nieubłaganej...”

Mam za sobą tyle praktyki politycznej, że mogę powiedzieć, iż wiem, że jest zdanie dowodzące, że Gombrowicz nie był zwykłym sobie komentatorem politycznym, doradcą władz, którą to rolę tak lubią zwykli pisarze, a ideologiem geostrategii, której horyzont mnie osobiście przeraża.

Gdyby Gombrowicz był Żydem, zostałby zapewne wciągnięty na czarną listę „Żydów nienawidzących samych siebie” i ogłoszony tzw. rewizjonistą. Z

powodu „Pornografii” Giedroyć nie zaznał jakichś specjalnych kłopotów, a i mnie wytykano palcami raczej za plecami niż w oczy.

Jednym z najpochlebniejszych dla mnie osobistych wspomnień związanych z „Pornografią”, jest niesłychana awantura, jaką zrobił mi Adam Michnik właśnie z powodu wydania jej w „Oficynie Narodowej”. Rozumiałem, że uznał to za zagrożenie dla możliwości oskarżania Polaków o kołtuństwo i zaściankowość, na czym jego środowisko budowało swe aspiracje do rządu dusz. Michnik był wyjątkowo wściekły, agresywny i wulgarny. Wrzeszczał o niedopuszczalnym fałszu, które jest sprzeczny z etosem KOR i całą postawą „opozycji demokratycznej”. Ta wściekłość mistrza patriotycznej tandety publicystycznej zręcznej i melodyjnej niczym piosenki Maryli Rodowicz, , upewniała mnie, że sprawy idą we właściwym kierunku.

Pół roku później, w Sierpniu`80 WZZ kierował Wielkim Strajkiem, ja rozdawałem w Stoczni Gdańskiej zeszyty gombrowiczowskie, a przerażeni korowcy ślali do nas wysłanników z błaganiami, byśmy się poddali.

Program strajku – zwyciężyć.

W drugim tomie „Dziennika” znajduje się wskazanie: „Życ, żyć, za wszelką cenę. Nie umierać! /.../ nie być posągiem; nie być płaczką; nie być grabarzem; nie recytować; nie powtarzać się; nie wyolbrzymiać”. (D II 205)

W tym czasie miałem duży wpływ na Lecha Wałęsę. Chcieliśmy wygrać ten strajk. Polakom potrzebne było zwycięstwo. Choćby politycznie ograniczone, ale moralnie czyste. To stanowisko było atakowane z dwóch stron. Przez maksymalistów, którzy domagali się doprowadzenia do krwawej ofiary i przez „realistów” (Mazowiecki, Geremek, Kuroń, Michnik), którzy namawiali nas do podjęcia kolaboracji.

Do dzisiaj nie rozumiem dlaczego się nam udało, ale jedynym prawdopodobnym wyjaśnieniem jest objawienie się ducha gombrowiczowskiego w gdańskich robotnikach. Odwaga i rozważa, wiara we własne uczucia i samokrytycyzm, intuicja i kalkulacja, mistyfikacja i realizm. Skąd wziął się fenomen uznania przywództwa Gdańska przez całe polskie społeczeństwo? To posłuszeństwo było czymś niesamowitym. To jest nie do udowodnienia, ale ja, obok papieża, Wałęsy, Gwiazdy i Walentynowicz, postawił bym właśnie Gombrowicza.

Gombrowicz i „okrągły stół”

Jaruzelski poniża Wałęsę, Kiszczak dutka Mazowieckiego, Reykowski wkłada palec w usta Geremka, Urban ujeżdża Michnika

Gombrowicz przyłożył się do utworzenia WZZ i wysunięcia hasła „Solidarność”. Nie zdołał jednak uratować Polski przed „okrągłym stołem”.

Byłem świadkiem „okrągłego stołu” przez cały czas jego trwania. Dysponując przepustką wystawioną na dźwiękowca biskupiego Studia-Video Gdańsk, spędziłem w Pałacu Namiestnikowskim więcej czasu niż którykolwiek z jego uczestników. Mogę powiedzieć, że widziałem zdradę na własne oczy i wielokrotnie. Co ma do tego Gombrowicz?

Tym razem rzeczywiście niewiele. A jednak ma trochę, bo ułatwia zrozumienie tego co tam się stało. Otóż przy „okrągłym stole”, pomiędzy solidarnościowo-opozycyjnymi „towarzyszami podróży” realnego socjalizmu, agentami komunistycznych tajnych służb, pożytecznymi idiotami i grupą durniów dobrej woli, zasiadł pisarz. I to pisarz nie byle jaki, chciałoby się rzec, wcale nie „okrągłostołowy”. Był nim Jan Józef Szczepański.

Jako pisarz i człowiek nieprzekupny Jan Józef był ofiarą socrealizmu. Socrealizm był konceptem Żdanowa. Ale Jan Józef nie wiedział, że Żdanow wymyślił jeszcze jeden sowiecki koncept - Okrągły Stół. Oczywiście nazwę świadomie wziął od króla Artura. Ale doskonała sowiecka tandeta polega właśnie na tym, żeby najpiękniejsze mity ludzkości przeobrazić w najpodlejsze inscenizacje poniżenia i zniewolenia człowieka.

Wystarczyło, żeby Jan Józef podporządkował się herbertowskiej kwestii smaku i natychmiast by wyczuł, że Okrągły Stół oznacza Żdanowa i sowieckie kłamstwo. Całkiem niedawno jego znajomi byli wzywani do eleganckiej Sali Okrągłego Stołu położonej na pierwszym piętrze Pałacu Staszica. Wzywającym był wszechwładny Józef Berman, który wskazywał wezwanym artystom, literatom i intelektualistom zadania wynikające ze wskazań nadesłanych przez towarzysza Żdanowa, które, jak wszyscy dobrze to wiedzieli, miały sankcję najwyższą, czyli samego Nauczyciela, Językoznawcę, Ludobójcę.

Jak to się stało, że ten pisarz poważny, nieprzekupny i osobny, a także poważny, nieprzekupny i osobny człowiek, został przywieziony do „okrągłego stołu” na wezwanie Kiszczaka, zbrodniczego i zdradzieckiego szefa komunistycznej tajnej policji, sługi i następcy Bermana, i zasiadł przy nim potulnie niczym byk trzymany przez wiodącego za małe kółko w nosie?

Czym było to małe kółko w nosie, czyniące z silnego byka bezwolne niemowlę, i kto mu założył?

Nie odpowiem na to pytanie, przynajmniej nie tu i teraz. Tu i teraz mogę wskazać tylko na część olbrzymiej i skomplikowanej problematyki trzymania byków za kółko w nosie, przez wskazanie na fundamentalną, a jednocześnie po prostu całkowicie dziką i nieokrzesaną nie okrągłostołowość Gombrowicza. Możemy powiedzieć, że każdy, nawet najpotężniejszy, najpoważniejszy, najbardziej nieprzekupny i najbardziej osobny z byków, jacy możliwi są do pomyślenia w czasach dzisiejszych, staje się bezwolnym niemowlęciem w tej natychmiast chwili, gdy tylko da sobie założyć do nosa choćby najmniejsze kółeczko.

Jan Józef dał to sobie zrobić, bo widać nie zapoznał się uważnie z wywodem Gombrowicza. Dał to sobie, i nam, zrobić, bo nie uwierzył w

nieodparcie prawdziwy dźwięk tej poezji. Ale czy mógł uwierzyć w coś, co najwidoczniej przychodziło do niego z zewnątrz, a nie było wcześniej samemu przeczytane? Jeżeli ta zasada jest zasadą prawdziwą, to wina Jana Józefa nie polega nawet na tym, że nie przeczytał i nie zapoznał się, ale jest jeszcze wcześniejsza – on w ogóle nie powinien był zostać pisarzem.

Oto od czasu pojawienia się Gombrowicza, a pojawił się on wcale nie spiesząc się, w momencie dopiero ostatecznym, najpóźniejszym z możliwych, nie można już być pisarzem przedgombrowiczowskim, bo taki pisarz staje się niechybnie tylko pożałowania godnym bykiem prowadzonym przez parobka za kółko w nosie. Staje się pośmiewiskiem jak niedźwiedź tańczący na blasze i jak małpa na koniu.

To jednak nie jest najgorsze. Taki byczy pisarz podpisuje cyrografy nie za siebie, choć za siebie również, ale on podpisuje „w imieniu”. W imieniu czytelników swoich książek, ale w imieniu literatury w ogóle. A przecież wiadomo jest, że pisarz *„broni suwerenności Ja nie tyle z wierności, albo przywiązania do tradycji zachodniego indywidualizmu, ile w przekonaniu, że Ja jest podstawą wszelkiego poznania, fundamentem międzyludzkiego dialogu, zasady solidarności”*. Jan Józef zasiadł więc po „solidarnościowej” stronie „okrągłego stołu” i okazał się niesolidarny. Z samym sobą jako pisarzem i człowiekiem, ze swoimi czytelnikami, jako miłośnikami literatury i jako ludźmi, z ogółem Polaków jako czytelników zaczerzonego papieru i obywatelami. A to już jest poważna sprawa.

Po pierwsze Giedroyć

Od r. 1974 moje mieszkanie w Gdańsku służyło za skrzynkę do przetrzutu książek „Kultury”. Podejmując w 1978 roku przedruki z Instytutu Literackiego pamiętałem, że jestem tylko skromnym pomocnikiem.

Dlatego w 1980 r. na okładce ostatniej książki napisałem:

„Od wydawcy krajowego

Kończąc niniejszym zeszytem całość krajowego wydania „Dziennika”, kończąc również działalność wydawnictwa, pragniemy zadedykować swą pracę Panu Jerzemu Giedroyciowi – człowiekowi, którego zasługi dla kultury polskiej można mierzyć tylko wielkością niej samej”.

Ile egzemplarzy wydałem?

Dziennik 7 x 2 – 3 tys. = 17,5 tys.

De Roux 4,- tys.

Kosmos 2,5 tys.

Pornografia 3,5 tys.

Przeciw poetom 12,5 tys.

Razem 40,- tys.